

PRZYWIODŁA MNIE TU WIELKA MIŁOŚĆ

ERDMUTE (MUTE) SOBASZEK JEST WSPÓŁ-TWÓRCZYNIĄ WIEJSKIEGO TEATRU WĘGAJTY. RAZEM Z MĘŻEM WACŁAWEM SOBASZKIEM OD PONAD 30 LAT MIESZKA I TWORZY W PODOLSZTYŃSKIEJ WSI. ROZMAWIAMY ZNIĄ O WSCHODNIO-PRUSKICH KORZENIACH, NRD, POLSCE I ŻYCIU W SZTUCE.

— Niedawno ukazała się książka „Błażnice. Kobiety kontrkultury teatralnej w Polsce”. Jej autorka Katarzyna Kułakowska opisała w niej kobiety, współtwórczynie wybitnych teatrów, pozostające jednak cieniu mężczyźni. Rozdział o tobie jest zatytułowany „Akrobatka”. Trafnie? Czujesz się akrobatką?

— W pewnym sensie tytuł jest uzasadniony. W tym tekście jestem przedstawiona jako ktoś znajdujący się na krawędzi. Kułakowska zawarła w nim też obraz przechodzenia na linie między wieżami World Trade Center.

— Ty tego nie zrobiłaś, ale przyszłaś, a właściwie cały czas, idziesz po linie. Przyjechałaś prawie 40 lat temu z NRD do Polski.

— I z tego bardzo wiele wynika!

— Powiem ci, że bardzo mnie to zawsze dziwiło. Jako nastolatka byłam w Turynii i w tym niewielkim kawałku Niemiec zobaczyłam znaki wspaniałej kultury. To miejsce, gdzie żyli i tworzyli Luter, Johann Sebastian Bach, Schiller i Goethe.

Byłam też w Buchenwaldzie, ale o tym teraz nie mówmy. Ty to wszystko porzuciłaś. Dlaczego?

— Dzieciństwo spędziłam pod Berlinem. Mama pochodziła spod granicy holenderskiej, a tata Juergen Henkys spod dzisiejszego Kaliningradu. Więc w Węgajtach czuję się tutejsza. Tata był pastorem, podobnie jak jego ojciec i dziadek. Wykładał teologię na uniwersytecie, znany był też jako badacz kościelnych pieśni ewangelicznych.

— To wiele tłumaczy! Jesteś bardzo muzykalna, grasz na klarnecie i śpiewasz.

— Tata tłumaczył kościelne pieśni protestanckie z niemieckiego, norweskiego czy angielskiego na niemiecki. Jest za to bardzo ceniony do dzisiaj. Wśród moich przodków jest też dwóch Oestermayerów, którzy w XVIII wieku zapoczątkowali badania nad litewskim i są twórcami pierwszego słownika tego języka.

— To jesteś jak najbardziej u siebie!

— Nigdy nie wiadomo, co jest przypadkiem, a co jest zrzędzeniem losu. Jeżeli o mnie chodzi była to wielka miłość. Trafiłam na wyjątkowego człowieka. Chętnie też uczyłam się polskiego. Ze szkoły znalazłam dobrze rosyjski,



Erdmute Sobaszek w spektaklu „Czułość” Teatru Węgajty

więc było mi łatwiej. Ale przede wszystkim zauroczyła mnie polska kultura.

— Co jest w niej takiego? My narzekamy, że jest zaściankowa, mało uniwersalna, naśladowcza.

— Mnie spodobała się ogromna otwartość ludzi. Nigdy nie odczułam niechęci do mnie jako do Niemki, przedstawicielki narodu, który tyle złego uczynił Polakom. Ludzie byli mnie ciekawi. Poza tym w Polsce ludzi łączyły mocne więzi, z jakimi w ówczesnych Niemczech się nie spotkałam. Teraz jest inaczej, co świadczy o tym, że narody mogą się zmienić (śmiech).

— To pocieszające!

— Bardzo, bo znaczy, że nie jesteśmy niewolnikami losu, że nie musimy być raz na zawsze tacy sami. W Polsce doświadczyłam też wielkiej

gościnności. To oklepne stwierdzenie, ale prawdziwe. Przeżywałam spotkania, które wtedy Niemcom nie były w ogóle możliwe. I to Niemcy, jeśli chodzi o zachowania, byli zaściankowi. Nie mówiąc o tym, że całe NRD było przesłanięte agentami STASI i ludzie bali się siebie nawzajem. W Polsce w stanie wojennym było więcej wolności niż kiedykolwiek w NRD. Ale teraz Polacy się zmienili, bo odchorowali kapitalizm. Zauważyłam to szczególnie podczas naszych wypraw.

— Bo jesteście, przypomnijmy, teatrem, który wędruje po Polsce i po świecie. Co zauważyłaś w Polsce?

— Że wcześniej ludzie byli bardziej otwarci na innych, takich egzotycznych jak my. Jednak w latach 90. XX wieku społeczność wiejska została

w sferze społecznej odsunięta na margines. Była kulą u nogi kapitalistycznego rozwoju. To zamknięcie odczułam podczas wypraw, ale też tu u nas, na wsi. Szczególnie jeśli chodzi o młode pokolenie. Młodzi zaczęli chodzić na koncerty discopolo i pokazywać nam, że ich nie obchodzimy. A teraz znowu nastąpiła zmiana. Przez internet, dzięki któremu kontaktują się ze światem. W sieci mogą obejrzeć nasze archiwum i mogą też śledzić naszą działalność.

— Nie jesteście tradycyjnym teatrem. Takie zespoły, jak wasz, nazywa się utopijną wspólnotą lub teatrem rodziną. Zgadzasz się z takimi określeniami?

— Na pewno wspólnotowość jest ważna.

— Podziwiam was, że tyle lat żyjecie w trudnych, surowych warunkach.

— Były momenty dramatyczne, wymagające wielkiego wysiłku, tym bardziej że mieliśmy dwójkę małych dzieci. Zimą były inne niż teraz. Zdarzało się, że dzieci z powodu zasp nie chodziły 2 tygodnie do szkoły. Były też kłopoty z zaopatrzeniem. Teraz żyjemy skromnie, ale tylu ludzi w Polsce, w tym artystów, żyje skromnie! Bogaci są celebryci. My zawsze ceniliśmy niezależność i nie wyobrażamy sobie życia w systemie instytucjonalnej zależności. Pracujemy zawsze w łączności z kontekstem społecznym. Szukamy miejsc, gdzie jesteśmy potrzebni.

— Pracowaliście m.in.

z mieszkańcami Domu Pomocy Społecznej.

— Zrealizowaliśmy tam sześć spektakli. Były to „Wesele. Domena publiczna” według Wyspiańskiego, „Iwona poślubiona”, według „Iwony księżniczki Burgunda” i „Ślubu” Gombrowicza, „Sen nocy letniej” według Szekspira, „Ulica Krokodyli” z motywami z „Sanatorium pod klepsydrą” i „Sklepów cynamonowych” Schulza, „Różowe i żółte” — na motywach Charlesa Bukowskiego oraz „Ubu król, czyli Polacy” według Jarry’ego. Zaczęliśmy w 2008 roku od „Wesela”. Ten spektakl był bardzo dobrze odebrany i dla nas jest legendą.

— Co to wam daje praca w takim miejscu jak DPS?

— Zmieniliśmy perspektywę patrzenia. Ale to działa w obie strony. Motywacją do wejścia do DPS-u było po-

czucie, że jest to biała plama, którą wszyscy najchętniej omijamy. A chciałam zobaczyć, co ona przykrywa. Odkryliśmy ludzi z ich życiowym doświadczeniem, ich siłę w zmaganiu się z tym, co jest przykre. Pani Irena na wózku jest niezwykle osobowością i wspaniałe jest to, że mogliśmy ją poznać. Dlatego uważam, że nie należy nigdy nikogo wykluczać. Im bardziej się kogoś, czy czegoś boimy, tym bardziej ubogie staje się nasze życie. I podkreślam zawsze, że praca w DPS nie jest z naszej strony dziełem miłosierdzia. Jest ważna dla nas. Widzowie tych spektakli czują podobnie; że ich te spotkania wzbogacają.

— Realizujecie w praktyce ideę teatru ubogiego! Ale wyjeżdżacie z Węgajt naprawdę daleko. Byliście m.in. na Tajwanie. To też ciekawe.

— Nie narzekam na nieciekawą życie. Teatr jest miejscem bez narodowości. Jest jeden naród teatralny. Bardzo często warsztaty prowadzimy po polsku i po angielsku. Poza tym w naszym teatrze nie ma podziału na teatr i życie. Te dwie sfery się przenikają. Tak jak teatr łączy z animacją kultury. Uznaliśmy, że nie może być tak, że my się rozwijamy, a obok nie się dzieje. Dlatego pracujemy z dziećmi, z DPS-em, ale też prowokujemy lokalną współpracę. Stąd Sztuka w Obejściu, działanie, które zaczęło się w 2008 roku. Zaangażowali się w nie nasi kreatywni sąsiedzi. W 2012 roku zaproponowałam olsztyńską akcję Miasto w Drozdzie, której celem było i jest łączenie we wspólnym działaniu ludzi z różnych środowisk artystycznych.

— Ostatnio widziałam ciebie i Wacka w galerii Dobro Miejskiego Ośrodka Kultury. Na koniec zapytam o waszych dorosłych synów. Gdzie oni są?

— W Berlinie. Są dwujęzyczni i okazało się, że Berlin jest dla nich lepszym miejscem. Jakub zajmuje się muzyką. Natomiast Jan jedną nogą jest w Polsce. Jest m.in. autorem projektu Dwa Ogrody, zrealizowanego w Olsztynie i w Dortmundzie. Kto wie, czy nie zobaczymy go znowu w Olsztynie. A my zapraszamy do Węgajt 10 lutego za Zapusty. Będziemy wędrować z maskami.

EWA MAZGAŁ

e.mazgal@gazetaolsztynska.pl

